

Nalałem z dzbanka pół szklanki wody i piłem wolno, myśląc o tym, co tak naprawdę wspominały? Przecież nie mogłem zapamiętać w szczegółach ani zdań, ani słów Deresa czy prawnika, a to znaczy, że opisywana rzeczywistość powstawała na nowo, że tworzyły ją elementy prawdziwych zdarzeń oraz emocje – te dawne i obecne.

Wiedziałem, że w czasie zadumy coś się ze mną dzieje, ale gdy poczułem głód, uznałem, że pojawił się dobry sygnał. Moim zdaniem oznaczał, że wszystko jest w porządku, chociaż nie byłem pewien, czy do końca, bo zadawałem sobie za dużo pytań i nie pozbyłem się powrotów do przeszłości oraz zastanawiania się, co to było?

Ktoś walił pięścią w drzwi. Gdy do nich podszedłem, usłyszałem ludzi rozmawiających podnieconym głosem, a gdy je otworzyłem, zobaczyłem stojących w grupce sąsiadów, na czele z tą z parteru. – Chwała Bogu! – wyrzuciła z siebie z wyraźną ulgą. – Co się z panem dzieje? Rodzina chce pana poinformować o pogrzebie, ale nie może się dodzwonić.

– Wiem o pogrzebie, ma być w czwartek – odpowiedziałem. – Właśnie jest czwartek, a pan podobno nie wie, o której ma być msza i gdzie można pożegnać się z bratem – informowała.

Wszyscy patrzyli podejrzliwie, bacznie obserwując moje zachowanie. Sąsiad z naprzeciwka poradził: – Ogarnij się pan, ubierz, bo pogrzeb lada moment, o drugim.

Przed wejściem do swojego mieszkania spojrzałem na mnie jeszcze raz i powiedział, że niedługo znów zajrzy. – Może będę do czegoś potrzebny – wyjaśnił.

Podziękowałem, a gdy odeszli, sprawdziłem, czy to środek dnia czy ranek? Każdy z zegarów, które miałem, wskazywał dziewiątą, uznałem więc, że mogę się spokojnie ogolić i wykapać. Sąsiad nie tylko przyszedł, przyniósł także talerz pełen kanapek i dopilnował, żebym je zjadł. Przyglądał mi się uważnie, a przed wyjściem zapytał, czy mam przy sobie pieniądze, bo mogą się przydać. Na koniec poradził wezwać taksówkę, chociaż wiedział, że mam samochód. Gdy zesłiśmy na dół, zauważył, że jego zdaniem nie powinienem siadać za kierownicę. Nie rozumiałem, o czym mówi. Coś mruknąłem, uściśnąłem mu rękę i włączyłem silnik.

Pogrzeby...

Na każdym z pogrzebów, na których byłem, zjawiałem się za późno, dlatego zawsze patrzyłem na zagłębiającą się w dole trumnę, a nie w twarz zmarłego, jak to było tym razem. Stałem blisko. Spodziewałem się Leszka, którego chciałem pożegnać, ale go tam nie było. – To przecież nie on! To jakaś wylinka! – przeszło mi przez myśl i zawstydziliśmy się, a gdy ktoś na mnie spojrzeł, uznałem, że patrzy podejrzliwie, co wzmogło mój wstyd. Poczułem się jak barbarzyńca. Skojarzenie było jednak bardzo mocne i wciąż tkwiło w głowie, dlatego musiałem coś z tym zrobić. Szukając przyzwoitego wyjścia, powiedziałem niemal na głos: – Wybacz, braciszku, ale ciebie tu nie ma. Wiem, że gdzieś jesteś, tylko nie wiem, gdzie i jak można złapać z tobą kontakt. Muszę się skupić. Muszę się tylko skupić!

A później była msza. Zostałem popchnięty w kierunku dwóch krzesel stojących oddzielnie, o krok od trumny i posadzony obok Zuzi, która kątem oka bacznie śledziła każdy mój ruch. Gdy

zauważyłem, że porusza wargami, udając odmawianie modlitwy, ogarnęła mnie niepoohamowana złość oraz chęć wydobycia z niej zakłamania i brudu, którego była pełna. W odpowiednim momencie powiedziałem więc: – To teraz. Pójdź sama. Wystarczy przykleknąć i lekko rozchylić usta. To bardzo proste. Stary ministrant ci to mówi.

– A ty? – syknęła.

– O mojej więzi z Leszkiem obecni wiedzą, ale skoro dla ciebie komunizm jest symbolem wspólnoty ze zmarłym, to powinnaś żegnającym zdemonstrować własną więź z mężem – kpiłem z jej pomysłu z kamienną twarzą. Zrozumiała. Bystrości nie można było jej odmówić. Zacięła usta, długo trwała nieporuszona, wreszcie drgnęła, jakby chciała ruszyć, i znów zastygła. Gdy po jej policzkach popłynęły łzy, pomyślałem, że niechcący zrobiłem coś dobrego.

Po wyjściu z cementarza wsiadłem w samochód i pojechałem do Deresa, ponieważ musiałem sobie poradzić z dokuczliwą, bezkształtną masą, która zgromadziła się we mnie poza świadomością, a teraz zaczęła domagać się uporządkowania i swojego miejsca na półkach z wartościami.

Siedział w fotelu, który dostał od kogoś. Cieszył się nim jak dzieckiem, tym, że fotel może obracać się wokół własnej osi, a on nie musi wykręcać głowy lub wstawać na odgłos kroków. Ostatnio miał z tym kłopot, bo chwycił go lekki paraliż. Słyszając moje przywitanie, poprosił cichym głosem, żebym usiadł, a sam nadal tkwił w bezruchu zapatrzony na kwitnące wiśnie, z których wiatr zwiewał białe płatki. Dopiero po dobrej chwili zapytał: – A ciebie co przygnęło?

– Chyba chcę księdzu coś o sobie opowiedzieć – tłumaczyłem się. – Spowiedź jak rzeka, tak? – burknął. – Nie. Chodzi o zwyczajną rozmowę, bo czasami trzeba się wygadać, a ja pomyślałem o księdzu.

– A bliżej nikogo takiego nie miałeś? – zapytał matowym głosem.

– Proszę księdza... – zacząłem i zawiesiłem głos. Chciałem pogodzić prawdę z kłamstwem, zanim jednak znalazłem pierwsze odpowiednie słowo, jemu zabrakło powietrza. Chciał głębiej odetchnąć, ale zamachał tylko rękami i zniechęcił. To, że umarł, zrozumiałem po dobrej chwili. Patrzyłem, patrzyłem i powtarzałem: – Co ksiądz zrobił? Na miły Bóg! Co ksiądz zrobił? I dlaczego teraz, właśnie teraz...

Uciekłem. Poszedłem w pola. Włóczyłem się znanymi drózkami, a później, jak pies, szukałem. Schodziłem wszystkie nasze ścieżki. W miejscu mojego obozowiska ktoś założył nowe, więc stało się obce. Brnąłem dalej. Odnalazłem łowisko w lesie, ale zarosło trzcinami i straciło urok, chociaż w gałęziach wciąż słyzałem śmiech Deresa i jego pytanie: „Czy wpadłoby ci do głowy, że ja nie nazywam się Deres?”

Epilog

Po kilku godzinach błędzenia Stefan znalazł się daleko od wioski, też nad rzeką. Na wysokim brzegu, na granicy łąki i lasu siedział jakiś człowiek spoglądający to na leżący tuż obok sprzęt rybacki, to na las, to na pola. Bezwiednie podszedł do rybaka i zapytał, dlaczego się zastanawia, bo w tym

miejscu coś powinno brać. – Panie – usłyszał – nie przyszedłem łowić. Uciekłem z chaty, żeby spokojnie pomyśleć.

– A o czym pan chciał myśleć?

– O życiu, bo widzi pan, nie klei mi się.

Stefan kiwnął głową, złapał powietrze jak ryba i wolno, z przerwami na oddech powiedział: – To tak jak mnie, z tym, że ja się już namyślałem, a później przyszedł czas, żeby porozmawiać, ale nie udało się, bo potrzebni rozmówcy niespodziewanie odchodzą, umierają. A teraz łązę jak ten dureń i chyba zaczęę gadać do lasu czy do tych pól, no bo jak nie ma do kogo...

Siedzący nad rzeką odwrócił głowę i długo przyglądał się przybyszowi. Naszpikowany świerkowymi igłami garnitur i półbuty utaplane w błocie zrobiły na nim wrażenie. Po dobrej chwili wyjął z torby chleb, kielbasę oraz jakieś owoce i podał, mówiąc: – No to siadaj pan i wal!

Stefan milczał. W końcu zaczął: – Bo wie pan, ludzie dziwnie umierają. Nie rozumiem, dlaczego nie żal im świata... – nie skończył. Zemdlął.

Do pełni świadomości wrócił we własnym mieszkaniu, w którym nie był sam. W jego fotelu siedział obcy człowiek. – Kim pan jest? – zapytał słabym głosem.

– Widzę, że niewiele pan pamięta. Nazywam się Nowak. Wybrałem się na ryby i zanim rozłożyłem sprzęt, wyłonił się pan z lasu niczym potępiona dusza, a po chwili stracił pan przytomność. Sprowadziłem pomoc. W efekcie jesteśmy w Gdańsku, bo ja też tu mieszkam, nawet niedaleko, o rzut kamieniem. Po mnie opiekę przejęli sąsiedzi, ale zaglądam i ja. Jestem pisarzem. Nad rzeką zaczął pan ciekawą rozmowę. Może, gdy choroba minie, warto ją kontynuować. Lubię słuchać.

Myśli Stefana wciąż były niezbyt jasne. Nie pamiętał, co zdążył napisać pisarzowi, ale jakichkolwiek wynurzeń kontynuować nie zamierzał.

Życie na pozór wróciło do normy. Sąsiad z naprzeciwka wpadał na dwa słowa, a sąsiadka czasami przyniosła zupę lub jakieś kotleciki. Gdy postawiła na stole pierogi z jagodami, był to znak, że lato w pełni.

Stefan dużo czasu spędzał na balkonie. Wróciły rozmyślenia. Słońce, leciutki wietrzyk i wspomnienia działały usypiająco. Ostatnio często przysypiał gdzie bądź, widocznie dlatego że nocami źle spał. Roily mu się koszmary. W snach pytał o coś ojca lub szukał czegoś nad strumieniem i nie znajdując, zrywał się zły potem, wystraszony, umęczony.

Ciekawiło go jedno: dlaczego i w snach, i na jawie poruszał się w obrębie rodziny? Przecież jego życie tylko w małej części było z nią związane. Czyżby mimo to było wyjątkowe i najważniejsze? Często myślał, o co tu chodzi? Dlaczego wiele późniejszych lat z taką łatwością wypadło z pamięci? Czy nie miały znaczenia, czy chciał o nich zapomnieć? Któregoś dnia jego zadumę zburzyły słowa dobiegającej z ulicy piosenki: „do przodu żyj!”. – Gdy przed tobą mur, żyje się do tyłu – pomyślał.

Koniec

